

# Władysław Terlecki

---

## Brulion

---

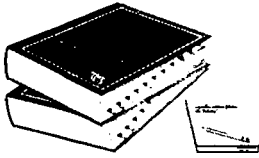
Palestra 41/7-8(475-476), 73-74

---

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



# Władysława TERLECKIEGO BRULION

Powstanie Listopadowe trwało w Warszawie, kiedy do Londynu wyprawiono młodego człowieka z misją zbadania stosunku rządu brytyjskiego do sprawy polskiej. Młody człowiek dysponował odpowiednimi pełnomocnictwami i udało mu się nawet dotrzeć do samego lorda Palmerstona. Kto wie, czy kontaktu tego nie ułatwiły mu arystokratyczne koligacje. Wysłannikiem był bowiem Aleksander margrabia Wielopolski, którego wielka polityczna kariera miała się rozwinąć dopiero w trzydzieści lat po upadku listopadowej rebelii.

Lord Palmerston udzielił wtedy młodemu dyplomacie politycznej lekcji. Oświadczył, iż rządy europejskie nie są zainteresowane osłabianiem imperium rosyjskiego. A w każdym razie nie jest tym osłabieniem zainteresowany gabinet brytyjski, zaś polskie nadzieje na odzyskanie utraconej wolności zdają się być, niestety, romantycznymi mrzonkami. Niech zatem młody człowiek – perswadował lord – nie da się oczarować manifestowanymi tu i ówdzie wyrazami sympatii dla walczących Polaków. Można oczywiście Polakom współczuć i współczucie takie przystoi wręcz chrześcijańskim narodom, ale nie ma to wiele wspólnego z politycznymi realiami. Jedyne, co lord Palmerston może buntującym się Polakom radzić z głębi serca, to szybkie dogadanie się z Rosją i przebłaganie słusznie na nich rozgniewanego cesarza. Taki jest rzeczywisty interes polityczny Wielkiej Brytanii, a także i innych rządów europejskich.

Dobrze, zdaje się, zapadnie w pamięć młodemu emisariuszowi tamta lekcja politycznego realizmu. Warto mieć to na uwadze przy zagłębianiu się w późniejsze losy margrabiego.

Potem zdarzyło się w historii to i owo. Rządy, już nie tylko europejskie, kilkakrotnie jeszcze na płaszczyźnie międzynarodowej ustosunkowały się do sprawy polskiej. Wystarczy przypomnieć konferencję jałtańską, na której, zgodnie z historycznymi zaleceniami lorda Palmerstona, politycy zachodni podawali swemu rosyjskiemu sojusznikowi polską głęść. Potem serdeczny przyjaciel wujaszka Joe F.D. Roosevelt w towarzystwie premiera brytyjskiego zasiadł do słynnej przyjacielskiej fotografii. Trzej mężowie, bardzo ukontentowani wykonaniem dobrej roboty, uśmiechają się do obiektywu, a moskiewscy enkawudziści gotują się tymczasem pospiesznie do realizacji następnej fazy polskiego scenariusza. Podobno na tamtej słynnej jałtańskiej fotografii uwidocznił się również inny przyjaciel rosyjskiego wujaszka, któremu po latach przypisywano agenturalne powiązania z wywiadem radzieckim. Ciekawe, czy na współczesnych fotografiach emerytowanych polityków na Zachodzie płaczą się gdzieś podobne oblicza?

Minęło wiele lat. Sprawa Polski znowu pojawiła się tu i ówdzie w rozgrywkach politycznych. Zachód i tym razem musiał ustosunkować się do dalszych polskich losów. Wielką aktywność w tej sprawie ujawniają ostatnio emerytowani

amerykańscy mężowie stanu, politolodzy i dziennikarze. Nie wszyscy zresztą, dodajmy, pozostający na zasłużonej rencie. Jak doniosła niedawno prasa, przewodzi owej grupie córka innego amerykańskiego prezydenta, bardzo zatroskana o dobre samopoczucie rosyjskich polityków i amerykańskich podatników. Dama ma widać sporą umiejętność przekonywania, skoro jej argumentacji ulegają ludzie z pierwszych stron amerykańskich gazet. W jakiejś mierze działalność tej grupy pozostaje głównie sprawą amerykańską. Ale jednak nie wyłącznie. W gronie osób deklarujących kategoryczny sprzeciw wobec włączenia Polski i innych europejskich krajów do struktur bezpieczeństwa znajdują się też politycy deklarujący do niedawna swoje szczerze sympatie do tych państw. Wśród nich znalazł się nawet były amerykański ambasador w Polsce, którego z ogromnym żalem żegnali nie tak dawno polscy politycy, ciesząc się przy tym zapewne, iż ów przyjaciel naszego narodu będzie z pewnością w przyszłości rzecznikiem sprawy polskiej w swojej ojczyźnie. Zapomnieli, że ambasador Devis jest jedynie rzecznikiem podatników ame-

rykańskich i że ma do tego prawo. Tak samo, jak wolno było kiedyś niektórym politykom bronić w Europie interesów zachodnich podatników głosząc hasła, iż nie warto umierać za Gdańsk. Inna sprawa, czy postawa ta rzeczywiście zgadzała się z interesami tamtych podatników. Ale to już nie nasz kłopot. Przynajmniej w części. Wolno zatem byłemu amerykańskiemu ambasadorowi pozostawać rzecznikiem rosyjskich interesów w swoim kraju. Wolno mu też dorabiać do swojego stanowiska takie czy inne uzasadnienia. Nam pozostaje tylko wzdychać do Boga, aby raczył nas bronić przed fałszywymi przyjaciółmi.

Ale na tym rzecz się nie kończy. Problem integracji z istniejącymi strukturami obronnymi pozostaje dla Polaków kwestią o historycznym znaczeniu. Trzeba zatem spytać polskich bywalców salonu pana ambasadora, którzy pojawiali się tam na śniadaniach, obiadach i kolacjach, czemu nagle nabrali wody w usta? Nie chcą sprawiać przykrości swemu przyjacielowi? Czy też może milczą w interesie amerykańskich podatników?